

Unizony Bóg

Zmartwychwstanie jest początkiem chrześcijaństwa. Wcześniej Jezus nauczał i czynił cuda, ale dopiero przez Zmartwychwstanie uczniowie ostatecznie przekonali się, że Jego słowa były prawdziwe i odkryli ich ostateczny sens. Zrozumieli, że człowiek, któremu towarzyszyli przez tyle czasu – jedli z nim, pili, mieszkali, wędrowali po Galilei – był kimś więcej niż tylko człowiekiem, że w Nim było coś więcej niż się spodziewali (por. Łk 24,21). Zmartwychwstanie sprawiło, że zyskali nowe spojrzenie na to, co przeżyli u Jego boku. Autor Czwartej Ewangelii ostatecznie wypowiedział jasno intuicję, z którą zmagali się przed nim pozostali autorzy Nowego Testamentu. W Prologu do Ewangelii napisał otwartym tekstem, że „Bogiem było Słowo”, a zatem „Słowo stało się ciałem” (J 1,1): Bóg stał się człowiekiem. W Jezusie z Nazaretu Bóg wszedł w ludzką historię jako człowiek i doświadczył życia takiego jak nasze. To

jest fundament naszej wiary i jedno z najważniejszych odkryć, z których wyrasta Kościół. Jest to bodaj najbardziej rewolucyjny rozdział chrześcijańskiego rozumienia Boga i świata. Święty Paweł pisał o tym w Liście do Filipian: „On, istniejąc w postaci Bożej, nie skorzystał ze sposobności, aby na równi być z Bogiem, lecz ogołocił samego siebie, przyjąwszy postać sługi, stawszy się podobnym do ludzi” (Flp 2,6-7). Jezus Chrystus to uniżony Bóg. Tak się uniżył, że przyjął na siebie każdy kawałek ludzkiego losu łącznie z cierpieniem, skutkami grzechu i śmiercią. W dodatku przyszedł na świat w czasach, kiedy życie było – delikatnie mówiąc – ciut cięższe niż obecnie. Nie poczekał np. aż do XXI wieku, by zapewnić sobie wygodne życie z ciepłą wodą w kranach, świetnymi warunkami sanitarnymi i maszynami wykonującymi pracę ludzi. Doświadczył pracy, brudu, być może i choroby – wszystkiego, czego człowiek doświadcza. Pismo Święte mówi tylko o jednym jedynym wyjątku: nie zgrzeszył. Perspektywa Zmartwychwstania, czyli wywyższonego człowieczeństwa, skupia naszą uwagę na tym, że Jezus jest Bogiem i sprawia, że znika nam z oczu konkret tych trzydziestu ludzkich lat i Jego człowieczeństwo wydaje nam się mniej ważne. Tracimy



je z oczu. Język zdradza ślady takiego podejścia, np. mówimy BOŻE Ciało, a przecież jedyne ciało, jakie ma Bóg, to jest właśnie ludzkie ciało. Bóg udostępnił się nam przez człowieczeństwo Jezusa, Słowo przemówiło o Ojcu ludzkimi słowami. Nie ma doskonalszego sposobu poznania Boga, jak opowieść Jezusa. Dlatego, żeby zrozumieć coś z Boga, zawsze będziemy wracać do ludzkiej historii Jezusa z Nazaretu.

Czy Bóg się gniewa?

Bóg wchodzi w naszą historię jako człowiek i nie zatrzymuje się przed niczym, nawet przed śmiercią za nas. Święty Jan zapisał w Ewangelii słowa Jezusa: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15,13). Chrystus wypowiedział to zdanie nie tylko po to, by nam zostawić ładny aforyzm, ale wypełnił je sobą mimo dramatycznych okoliczności, w jakich przyszło Mu umierać – niesprawiedliwości, poniżenia, okrucieństwa. Wytrwał w ludzkiej wierności Ojcu aż do końca. Spróbujmy sobie na chwilę wyobrazić, że jesteśmy na miejscu Boga-Ojca i widzimy to wszystko, co ludzie robią

Jezusowi, jaki ból Mu sprawiają. Czy bylibyśmy w stanie utrzymać nerwy na wodzy? Czy raczej wybuchnęlibyśmy gniewem i walnęli piorunami w oprawców? Ojciec jednak nie zareagował tak na cierpienie, które ludzie sprawiali Jego Synowi: „On, który nawet własnego Syna nie oszczędził, ale Go za nas wszystkich wydał, jakże miałby wraz z Nim i wszystkiego nam nie darować?” (Rz 8,34). To szczyt objawienia miłosiernego oblicza Ojca.

Dzięki Chrystusowi dowiedzieliśmy się, że Bóg wobec grzechu nie tylko wstrzymuje gniew, ale reaguje propozycją przebaczenia. Albo jeszcze głębiej: ze skutkami naszego grzechu radzi sobie tak, że bierze je na siebie. Aż po śmierć. W Starym Testamencie – choć wątki miłosierdzia wobec słabych już się pojawiają – nie znajdziemy jeszcze takiego obrazu Boga. Zdaje się, że musiał przyjść do nas jako człowiek i opowiedzieć o tych swoich cechach, których dotąd nie udawało nam się odczytać – może dlatego, że nie mieściły nam się w głowach.

Zgorszeni Bogiem

Ten nowy obraz Ojca, który Jezus odsłaniał przed ludźmi, gorszył wielu współczesnych Mu Żydów.

W Ewangeliach znajdziemy sporo scen, w których słuchacze reagują oburzeniem na to, co mówi o Ojcu. Chodzi zwłaszcza o stosunek i samego Jezusa, i Ojca do grzeszników. Żydzi gorszyli się zachowaniem Jezusa, Ewangelista Łukasz zanotował ich reakcję na wizytę Jezusa w domu Zacheusza: „A widząc to szemrali: »Do grzesznika poszedł w gościnę«” (Łk 19,7). Jak On mógł?! Przypięto mu mało pochlebną łatkę: „Żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników” (Mt 11,19). A Jezus, zamiast łagodzić sytuację, dopowiadał: „Nie potrzebują lekarza zdrowi, ale ci, którzy się źle mają” (Mt 9,12). **Z**achowanie Jezusa w stosunku do grzeszników było znakiem tego, jak Ojciec się do nich odnosi. W tym samym kierunku szło nauczanie, zwłaszcza najsłynniejsze przypowieści. Opowiadał na przykład o zagubionej owcy, której pasterz szuka wytrwale, pozostawiając całe stado. Kończy się ona słowami: „Tak samo w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia” (Łk 15,7).

Przypowieści na ten temat jest dużo więcej, wszystkie pokazują, że Bóg idzie za grzesznikiem, zabiega o niego. Trudno to było przyjąć zwłaszcza tym, którzy uważali się za pobożnych, porządnych.

I zdaje się, że podobnie trudno się z takim obrazem Boga pogodzić dziś – szczególnie tym, którzy chcieliby „oczyścić” Kościół z grzeszników, zamknąć go przed nimi. A przecież idzie o to, że wszyscy jesteśmy grzesznikami. I dlatego orędzie Chrystusa o Bogu miłosiernym, który pochyla się nad grzesznikami, jest prawdziwie Dobrą Nowiną dla każdego. Bo oznacza, że i nade mną pochyla się z miłością.

Zaplątani



To nie był jedyny wątek nauczania Jezusa trudny do przyjęcia przez współczesnych. Kolejnym był związek między grzechem człowieka a nieszczęściem, jakie przytrafia mu się w życiu (karą Bożą) i na odwrót – między jego świętością i pomyślnością na tym świecie (nagrodą). Żydzi byli przekonani – ale jest to chyba dość powszechne, nie tylko żydowskie przekonanie – że jeżeli komuś się nie powodzi w życiu, to najprawdopodobniej dlatego, że Bóg karze go w ten sposób za jakieś grzechy. Natomiast jeśli ktoś jest bogaty, szczęśliwy i zdrowy, to oznacza, że jest sprawiedliwy i Bóg mu błogosławi.

Jezus się z tą tezą wyraźnie nie zgadza, irytuje się nawet: „myślicie, że owych osiemnastu, na których zwała się wieża w Siloam i zabiła ich, było większymi winowajcami niż inni mieszkańcy Jerozolimy? Bynajmniej, powiadam wam; lecz jeśli się nie nawrócicie, wszyscy tak samo zginiecie” (Łk 13,4-5). Nie ma bezpośredniej zależności między naszym postępowaniem a zsyłaną przez Boga pomyślnością czy nieszczęściem. Owszem, umiejętności czy praca mogą sprzyjać osiągnięciu sukcesu w życiu, zaś czynione przez nas zło może się boleśnie na nas odbić. Ale to efekt naturalnej kolei rzeczy, a nie specjalnej boskiej interwencji. Nieraz może chcielibyśmy, żeby tak było, żeby to od naszej poprawności zależało, czy jesteśmy piękni i bogaci, ale tak nie jest. Bóg nie rozlicza w tym świecie naszych win i zasług. Mówi o tym przypowieść o pszenicy i kąkolu. Gdy wśród zboża wyrosły chwasty, słudzy chcieli jak najszybciej się ich pozbyć – rozplątać, wyrwać, usunąć. Właściciel pola upomina ich jednak: „Poczekajmy na żniwa. Jeśli teraz zaczniemy usuwać kąkol, możemy też zniszczyć pszenicę” (por. Mt 13,24-30). Bóg będzie umiał wypłatać kąkol grzechu z pszenicy dobra naszego życia. My możemy się pomylić. Zwłaszcza że ten kąkol nie rośnie obok nas,

ale w nas, a granica bywa z trudem dostrzegalna w naszym sumieniu.

Na czym polega doskonałość?

613 vs. 2

Następny wstrząs w postrzeganiu Boga, jakiego dokonał Jezus, dotyczył relacji miłości między Bogiem a człowiekiem. Żydzi szczycili się tym, że Bóg nadał im Prawo. Na podstawie Pisma faryzeuszom udało się ustalić 613 przykazań, których należało przestrzegać, aby zaskarbić sobie błogosławieństwo Pana. Byli dumni z tego, że Bóg urządził im całe życie, w najdrobniejszym detalu. Z tej perspektywy świętość polegała na tym, by tych przykazań dokładnie, literalnie przestrzegać. Im bardziej skrupulatnie człowiek będzie wypełniał Prawo, tym doskonalsza będzie jego cześć wobec Boga i tym łaskawiej Bóg będzie na niego spoglądać.

Jezus tłumaczył im, że Bóg patrzy na serce człowieka, a nie tylko na jego zewnętrzne postępowanie. Można przestrzegać Prawa z bardzo niskich pobudek – z egoizmu, chęci przypodobania się ludziom, ze strachu. Tymczasem Bóg przygląda się temu, co człowiek robi z miłości, a czego może



na zewnątrz nawet nie widać. Jezus przestrzega przed ocenianiem ludzi po pozorach, bo one nie dają prawdziwego obrazu: „Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni” (Mt 7,1). Boga bardziej interesują faktyczne intencje, zamierzenia, z jakimi przystępujemy do działania, a znacznie mniej obchodzi Go to, na ile dokładnie udało nam się wypełnić jakiś przepis Prawa. W konsekwencji przykazania Jezusa nie są jakąś długą listą uczynków, których spełnienie gwarantowałoby człowiekowi, że jest w porządku wobec Boga. Nazareńczyk wzywa do miłości – Boga i człowieka. Nietrudno zauważyć, że w ostatecznym rozrachunku jest to o wiele bardziej wymagające...

Pod jednym Ojcem

Jezus pokazał też zupełnie inną perspektywę relacji między ludźmi. Objawił Boga, który jest Ojcem, a przez to my wszyscy jesteśmy braćmi. Jezus jest Synem Boga nie tylko jako Bóg, ale także jako człowiek, a to czyni nas wszystkich – z nim związanych w tym samym człowieczeństwie – dziećmi Boga. Jesteśmy więc powołani do tego, żeby patrzeć na innych i służyć im tak, jak robił to

Jezus. On pokazał, że gdy się odda życie za drugą osobę, to się je odzyskuje. I że to właściwie jedyny sposób na zachowanie życia. Im więcej czasu, miłości i sił będziemy poświęcać swoim braciom, tym więcej Bóg nam odda w dniu naszego zmartwychwstania.

Duch obecności

Wezwanie do wydania życia za braci wydaje się ponad nasze siły. Niezupełnie jednak o nasze siły chodzi. A już na pewno nie tylko o nasze. Jesteśmy w stanie naśladować Jezusa, bo po Zmartwychwstaniu został nam dany Duch Święty. Trochę chyba za rzadko o tym mówimy, ale z lektury Nowego Testamentu – zwłaszcza Dziejów Apostolskich – dość jasno wynika, że najważniejszym wydarzeniem dla Kościoła po Zmartwychwstaniu jest Zesłanie Ducha Świętego. Uczniowie dzięki Niemu pojegli ostatecznie, o co chodziło Jezusowi. Jakby zobaczyli świat nowymi oczami i odnaleźli w sobie siłę, by głosić Zmartwychwstałego. Przede wszystkim jednak zrozumieli, że Bóg nie jest gdzieś daleko w niebie, ale jest w nich. Ojciec Jezusa Chrystusa w swoim Duchu zamieszkał

! w ich sercach. A teraz mieszka w naszych. Zawsze już tam będzie, nigdy się nie oddali. A to oznacza, że każda cząstka naszej codzienności może być przepelniona obecnością Boga.

Duch Święty chce nas doprowadzić do spotkania z Ojcem, czyli pobudzić do modlitwy: „Gdy bowiem nie umiemy się modlić tak, jak trzeba, sam Duch przyczynia się za nami w błaganiach, których nie można wyrazić słowami” (Rz 8,26). Duch inspiruje w nas zwrot ku Bogu. Czasami kiedy poddajemy się temu głosowi, rodzi się w nas tęsknota za Ojcem. To jest bardzo pozytywne doświadczenie, które może pociągnąć za sobą kolejne – gdy człowiek czuje, że Bóg jest w jego życiu i otacza go niezmierną miłością.

Duch Święty ujawnia się w nas również wtedy, gdy stajemy wobec trudnych wyborów – wówczas pomaga w rozpoznaniu, co jest dobre. Możemy Go nie dostrzegać, ale On zawsze próbuje nam coś podpowiedzieć i zwykle robi to przez sumienie. Dlatego ilekroć mamy podjąć ważną decyzję, warto Go wzywać i próbować usłyszeć w swoim wnętrzu, bo od Niego wychodzą najmądrzejsze rozwiązania.

Czy trzeba wierzyć w Kościół?

Wydawać by się mogło, że w Kościół nie trzeba wierzyć, bo jest rzeczywistością widzialną, niemal namacalną. Doświadczamy tego za każdym razem, gdy przychodzimy na Mszę świętą: stajemy obok siebie, widzimy się, podajemy sobie ręce, przekazując znak pokoju. Jesteśmy Kościołem, który widać. Jeżeli jednak w *Credo* wyznajemy wiarę w Kościół, oznacza to, że oprócz tej warstwy widzialnej, doświadczalnej jest jeszcze inna, która wymaga wiary.

Co widać, a czego nie?

Aby to lepiej zrozumieć, trzeba przyjrzeć się temu, jak Syn Boży stał się dostępny w Jezusie z Nazaretu. Podczas Jego ziemskiego życia można było Go dotknąć, można było z Nim rozmawiać, jeść, mieszkać, można było się nawet z Nim spierać czy

zagrać w kości. Widzenie i dotykane nie wystarczało jednak, by rozpoznać w Nim zapowiedzianego Mesjasza, Syna Bożego. Do uznania tego potrzebna była wiara. Jego człowieczeństwo – ciało, nauczanie, słowa, czyny były znakami nieustannie odsyłającymi głębiej, do przestrzeni, którą tylko wiara może rozpoznać.

Jednocześnie przez to człowieczeństwo, przez Chrystusowe ciało, Bóg rzeczywiście działał: przebaczał grzechy, uzdrawiał, głosił Ewangelię z mocą, wskrzeszał umarłych. Jezus nie był takim znakiem, jak np. znak „stop” na skrzyżowaniu, który tylko informuje, że mamy się zatrzymać, ale nas nie zatrzyma. Większość znaków w naszym świecie oznacza coś, ale nie sprawia. Tymczasem znak człowieczeństwa Syna jednocześnie oznacza i sprawia to, co oznacza. Tam, gdzie było Jego ciało, tam udostępniała się też Jego boskość. Ale ten wymiar Jego tożsamości pozostawał ukryty, nieoczywisty, rozpoznawalny jedynie wiarą. Słowa i czyny Jezusa miały tę wiarę wzbudzić.

Święty Paweł napisał, że Kościół jest Ciałem Chrystusa, a zatem niejako przedłuża Jego obecność w świecie. W Kościele również współistnieją dwa wymiary – widzialny i niewidzialny. Kościół jako instytucjonalnie zorganizowana wspólnota

uczniów jest widzialnym znakiem zbawienia, które przyniósł Jezus. Wszyscy ochrzczeni są znakiem, dzięki któremu Dobra Nowina jest nadal przekazywana. Gdyby nie ta widzialna postać Kościoła, Ewangelia w ogóle nie mogłaby do nikogo dotrzeć. Nikt by jej nie wypowiedział i nikt by jej nie usłyszał.

Kościół jednak to coś więcej niż tylko grupa ludzi – w niej i przez nią nieustannie działa Duch Święty. Nasza modlitwa, głoszenie Dobrej Nowiny i sprawowane w Kościele sakramenty są skuteczne, Bóg działa przez nie, tak samo jak wtedy, gdy działał przez człowieczeństwo Jezusa przed wniebowstąpieniem.

Zbawienie naprawdę przychodzi przez Kościół, w nim naprawdę odpuszczane są grzechy i w nim naprawdę można spotkać Boga. To nie jest tylko opowieść, którą sobie przekazujemy, to się realnie dzieje. Aby tego doświadczyć, potrzebna jest wiara – dzięki niej można przejść od poziomu znaku do rzeczywistości niewidzialnej. Dzięki niej można dostrzec, że zbawienie nie jest tylko kwestią przeszłości: zbawiający Chrystus działa tu i teraz przez swego Ducha we wspólnocie Kościoła.

Wspólnota grzeszników

Jeśli coś łączy w sobie znak i skuteczność, czyli sferę widzialną, materialną i aktualne acz niewidzialne Boże działanie, nazywamy to sakramentem. Dlatego można powiedzieć, że Chrystus jest prasakramentem, jest pierwszym sakramentem, bo był jednocześnie widzialnym znakiem i obecnością Bożego zbawienia rzeczywiście działającego. Idąc tym tropem, możemy Kościół nazwać sakramentem wtórnym. Sobór Watykański II mówił, że „Kościół jest w Chrystusie niejako sakramentem, czyli znakiem i narzędziem wewnętrznego zjednoczenia z Bogiem i jedności całego rodzaju ludzkiego” (Konstytucja dogmatyczna o Kościele nr 1). Kościół jest „znakiem i narzędziem”, czyli wskazuje na Boga i jednocześnie jest przestrzenią Bożego działania.

Znane z katechizmu siedem sakramentów działa dokładnie tak samo: mamy w nich widzialną stronę, czyli znak i słowo, np. jak chrzczymy dzieci, to polewamy je wodą, wymawiając formułę chrzcielną, ale przez ten zewnętrzny znak działa rzeczywiście Bóg. Gdy ksiądz w konfesjonale odpuszcza grzechy, to wypowiada słowa, z którymi

Bóg związał swoją moc. To Bóg odpuszcza winy, ale używa do tego znaku.

W sakramentalnym charakterze Kościoła tkwi zasadnicza trudność związana z różnicą między Chrystusem a Kościołem: Chrystus był bez grzechu, a my nie jesteśmy od niego wolni. Kościół jest wspólnotą grzeszników, a to przecież nie pomaga w rozpoznawaniu w nim Bożej obecności. Byłoby pewnie łatwiej, gdybyśmy wszyscy byli doskonali jak Chrystus, ale nie jesteśmy. Kiedy ktoś z zewnątrz patrzy na Kościół, to widzi nas, także nasze słabości i grzechy. Na ile da się w nas dostrzec miłującego Chrystusa? To jest kłopot (bo o zgorszenie nietrudno), ale też wielka wartość Kościoła. Bo co by było, gdyby Kościół był tylko dla bezgrzesznych? Miejsce w nim byłoby tylko dla Pana Jezusa i Matki Bożej. Nas już trzeba by było – ze względu na grzech – wykluczyć. Na szczęście tak nie jest i wszyscy się w nim mieścimy. Jesteśmy wspólnotą grzeszników. Ale grzeszników, którym przebaczone. To jest istota Kościoła – wspólnota grzeszników, których dosięgło miłosierdzie Ojca przez Chrystusa w Duchu Świętym. Wspólnota tych, którzy usłyszeli Dobrą Nowinę, przyjęli przebaczenie i teraz o nim w radości świadczą.

Nie jest dobrze, kiedy się zatrzymujemy

Grzeszność oczywiście nie wzmacnia wiarygodności Kościoła. Jeżeli ludzie ochrzczeni, zwłaszcza znani, robią coś głupiego lub grzesznego, to cień pada nie tylko na wizerunek tych osób, ale utrudnia również odbiór Ewangelii: osłabia wiarygodność Kościoła. W związku z tym zadanie nawrócenia stoi przed każdym człowiekiem w Kościele. Im lepsze, głębsze i skuteczniejsze jest w nas nawrócenie, tym oblicze Chrystusa jaśniej bardziej i tym łatwiej jest rozpoznawalne. Z kolei im bardziej martwe i mizerne jest nasze życie wiary, tym gorszym, mniej czytelnym znakiem zbawienia jesteśmy.

Grzechy mają pewną dodatkową paskudną właściwość: jeżeli są powtarzane we wspólnocie przez wielu ludzi, to wpływają na to, jak ta wspólnota funkcjonuje jako całość. Pojawiają się nie najmądrzejsze zwyczaje, niesprawiedliwe prawo, przyzwolenie na zło. Tak się dzieje nie tylko w Kościele, ale we wszystkich ludzkich społecznościach i instytucjach. Jan Paweł II nazywał to – za niektórymi teologami mierzącymi się z wielkimi niesprawiedliwościami społecznymi w Ameryce Łacińskiej – strukturami grzechu. Jeżeli wielu ludzi powtarza ten sam grzech, to może on zamienić się

w prawo albo obyczaj, i nawet gdy oni się osobiście nawrócą, to obyczaj czy przepis zostaje i dalej deprawuje. Nie wystarczy więc samo nawrócenie poszczególnych ludzi, czasem jeszcze trzeba Kościół reformować, przeglądać obyczaje, przyjrzeć się strukturze, czy tam czasami nie czają się resztki grzechu lub błędu. Dlatego Kościół co jakiś czas się reformuje, poprawia, zmienia. To zawsze jest bolesne, bo nasze przyzwyczajenia potrafią być bardzo silne. Ale czasem samo zasiedzenie się w starych strukturach prowadzi do zagubienia jakiegoś dobra. Na przykład coś może stać się rutyną tak bardzo, że już mało kto pamięta, jakie było pierwotne znaczenie i sens jakiegoś działania. Kościół nie może się zatrzymać, bo jeżeli stanie w miejscu, to umrze. O tym mówił obecny papież w swojej pierwszej homilii: „Nasze życie jest wędrówką i nie jest dobrze, kiedy się zatrzymujemy”.

Jestem Ciałem Chrystusa

Na szczęście przestrzeń znaku, czyli nasze świadectwo oraz strona instytucjonalna Kościoła to nie wszystko, co wspólnota uczniów Chrystusa ma do zaoferowania. Jesteśmy przestrzenią działania

Ducha Świętego – On w nas mieszka i działa, zwłaszcza wtedy, gdy gromadzimy się na Eucharystii i przyjmujemy inne sakramenty. Duch Święty działa przez modlitwę i popycha nas do posługiwania innym. Sprawia, że coraz bardziej stajemy się Ciałem Chrystusa, bo odtwarza w nas Jego postawę oddania siebie w miłości. To zwłaszcza przez tę postawę stajemy się w świecie przedłużeniem Chrystusowego Ciała. Jego ciało materialne jest teraz chwilowo nieobecne (poza Eucharystią), bo wstąpił do nieba. W tym Ciele jeden Duch sprawia, że choć każdy z nas ma swoją własną funkcję, drogę, powołanie, całe Ciało zachowuje jedność. Zresztą ono może normalnie funkcjonować tylko wtedy, gdy każdy z członków rozpoznaje i wypełnia swoje powołanie i posługuje innym. Święty Paweł bardzo mocno kładł nacisk na to, że jesteśmy powołani do tego, by w jedności Ciała nawzajem sobie posługiwać tym darem, jaki każdy od Ducha otrzymał (por. 1 Kor 12).

Część powołań jest takich jak moje: realizuje się w celibacie i całkowitym oddaniu swojego życia na rzecz wspólnoty Kościoła. Ktoś inny jest wezwany do tego, żeby swoją miłość realizować w małżeństwie, które jest znakiem miłości Boga do ludzi. Przez darowanie swego życia małżonkowi

ma pokazywać światu, jak bardzo Chrystus umi-
lował swoją Oblubienicę – Kościół. Warto pamię-
tać, że aby posługiwać w Kościele, niekoniecznie
trzeba robić coś wewnątrz świątyni. Służbę Ciału
Chrystusa realizujemy tam, gdzie nasze normal-
ne codzienne powołanie nas postawiło – w pra-
cy, domu, szkole... To są przestrzenie naszej od-
powiedzialności. Nie przestajemy być uczniami
Chrystusa z chwilą, gdy wychodzimy z kościoła.
Wszystko to, co jest wewnątrz naszego doświad-
czenia, może być chrześcijańskie, to znaczy od-
niesione do Chrystusa. Zwłaszcza codzienne obo-
wiązki, których zwykle nie traktujemy jako sfery
religijnej. Styl, w jakim je spełniamy, miłość, jaką
w nie wkładamy, mogą być znakiem Bożego dzia-
łania w świecie. Bo ilekroć próbujemy posługiwać,
oddawać nasze życie dla braci, tylekroć ujawnia
się skuteczność działającego w nas Bożego Ducha
i skuteczność Kościoła.

Warto też od czasu do czasu pomyśleć o tym,
na co Paweł kładzie dość duży nacisk: „niezbęd-
ne są dla ciała te członki, które uchodzą za słab-
sze” (1 Kor 12,22). W Kościele najslabsze członki
powinny być otaczane największą troską. Jeżeli
Chrystus mówi, że został posłany, aby nawrócić
grzeszników, a nie sprawiedliwych, to głównym

zadaniem Kościoła powinno być pochylanie się nad słabymi i grzesznymi. Zawsze jest taka pokusa, żeby tych najsłabszych odsunąć ze wspólnoty, bo nam psują wizerunek i dobre samopoczucie. Tego nam robić nie wolno. Naszym zadaniem jako wspólnoty Kościoła, jako Ciała Chrystusa, jest troska o najsłabszych, o tych, którzy nie potrafią odnaleźć miłości w swoim życiu. To do nich jesteśmy przede wszystkim posłani.

Początek nowego świata

Credo kończy się wyznaniem wiary w zmartwychwstanie i życie wieczne. Niestety przez wieki akcentowania wiary w nieśmiertelność duszy przyzwyczailiśmy się do myślenia o niebie jako o rzeczywistości wyłącznie duchowej. Wyobrażamy sobie często, że po śmierci to nasze dusze będą się radować w niebie. Tymczasem wyznanie wiary mówi, że podstawową nadzieją chrześcijaństwa jest zmartwychwstanie ciała. Dopiero po zmartwychwstaniu czeka nas życie wieczne. Wiąże to się z podstawowym oczekiwaniem chrześcijan na paruzję, czyli powtórne przyjście Jezusa Chrystusa na ziemię. Nastąpi wtedy kres świata, jaki znamy, i przez jego przemianę nastanie nowy świat. Na przestrzeni wieków emocje związane z oczekiwaniem na powrót Jezusa mocno osłabły. Wprawdzie w adwencie mamy kilka takich dni, kiedy liturgia dość mocno to przypomina, ale poza tym przyzywanie powtórnego przyjścia Jezusa Chrystusa

przesunęło się nam na margines przeżywania wiary. Chyba za bardzo.

Co się dzieje po śmierci?

Dlaczego tak się stało? Dlatego, że ten koniec świata długo nie nadchodzi. Pierwsze pokolenie chrześcijan oczekiwało, że Chrystus przyjdzie ponownie jeszcze za ich życia. W latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych I wieku już się jednak nie spodziewano, że to może nastąpić lada chwila. Stąd w Nowym Testamencie położono akcent na to, że nikt nie zna godziny przyjścia Syna Człowieczego (por. Mt 25,1-13). Oczekiwanie przeciągnęło się jednak na dwa tysiące lat i każdemu z nas bardziej prawdopodobne wydaje się, że zanim nastąpi kres tego świata, to wcześniej przyjdzie kres jego życia. Ta perspektywa stała się znacznie bliższa, dlatego też z czasem zaczęto zastanawiać się w Kościele, co się dzieje z człowiekiem w chwili śmierci. Co się z nim stanie, jeśli umrze, zanim przyjdzie Chrystus? (to pytanie zaczęli stawiać chrześcijanie już niedługo po Zmartwychwstaniu Chrystusa). Co się dzieje z duszą człowieka, który zmarł, a jego ciało jeszcze nie zmartwychwstało?

Czy jego los rozstrzygnie się dopiero na sądzie ostatecznym, czy od razu? Kościół rozwiązał ten dylemat, bazując na dwóch wskazówkach. Jedna pochodzi z Ewangelii św. Łukasza, jest to scena, w której Dobry Łotr wisząc na krzyżu zwraca się do Jezusa: „wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do swego królestwa». Jezus mu odpowiedział: »Zaprawdę, powiadam ci: Dziś ze Mną będziesz w raju«” (Łk 23,42-43). Z tej obietnicy płynie sugestia, że rozstrzygnięcie co do tego, czy człowiek jest w Bogu, czy też Go ostatecznie odrzuca, nie dokonuje się dopiero na sądzie ostatecznym, ale w momencie śmierci lub tuż po niej.

Poczekalnia dla zmarłych

Druga wskazówka znajduje się w *Credo*: „zstąpił do piekieł, a trzeciego dnia zmartwychwstał”. Często tak koncentrujemy się na śmierci i Zmartwychwstaniu Jezusa, że umyka nam to, że „zstąpił do piekieł”. Wyrażenie to nie jest zbyt szczęśliwym tłumaczeniem *Credo* na język polski, w rzeczywistości chodziło bardziej o „otchłań” (szeol). Żydzi, a po nich także pierwsi chrześcijanie wierzyli, że ci, którzy umarli przed Chrystusem, czekali na Dzień

Pański w miejscu nazywanym otchłanią. Zmarli tam ani nie cierpieli, ani też nie trwali w szczęściu, raczej wyobrażano sobie to jako stan letargu, biernego oczekiwania dnia sądu. W takim stanie byli wszyscy, począwszy od Adama. Różne wzmianki o tym „miejscu” znajdziemy w Starym Testamencie, ale istotą sprawy jest to, że co do tych zmarłych nie zapadły żadne decyzje, oni są jakby zawieszeni w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie.

Kiedy Chrystus umarł, to tak jak wszyscy zmarli zstąpił do otchłani. Tym samym jednak sam Bóg-dawca życia zstąpił w krainę śmierci. Życie rozsadziło otchłań. Ojcowie Kościoła nieraz bardzo plastycznie to opisują. W starożytnej tradycji ikonograficznej, której pozostały wierne Kościoły wschodnie, w ogóle nie przedstawiało się momentu Zmartwychwstania (wyjścia Jezusa z grobu), tylko właśnie zstąpienie lub wyjście Chrystusa z otchłani. Na ikonach widać Go, jak wychodzi jakby z jamy w ziemi, obok leżą wyłamane wrota do otchłani często złożone na kształt krzyża. Chrystus stoi na nich, za rękę trzyma Adama, on zaś trzyma Ewę itd. aż do ostatniego biedaka w tej otchłani. Jezus ich wyprowadza i to jest obraz Zmartwychwstania: On powstał z martwych jako pierworodny spośród tych, którzy umarli.

Gdy wyznajemy wiarę w zstąpienie Chrystusa do otchłani, uznajemy też, że zmarli zostali osądzeni, a otchłań zniesiona. Nie ma już poczekalni dla zmarłych, po śmierci los ludzi rozstrzyga się od razu: albo chwytają się Zmartwychwstałego i doznają zbawienia, albo Go odrzucają.

Pompowanie modlitwą

Moment, w którym rozstrzyga się los człowieka, nazywany jest „sądem szczegółowym”. Dokonuje się on tuż po śmierci – stajemy przed Chrystusem i w tym spotkaniu zapada ostateczna decyzja: czy chcemy i potrafimy przyjąć Boga i z Nim się zjednoczyć, czy też tego nie chcemy?

Człowiek może trafić albo do „nieba”, które jest stanem pełnego zjednoczenia z Bogiem, albo do „piekła” – czyli popaść w stan odrzucenia Boga. Katolicka tradycja mówi jeszcze o czyśccu. W Piśmie Świętym nie znajdziemy tego słowa, ale pojawiają się teksty na temat modlitwy za zmarłych. Sugerują one, że modlitwa może być zmarłym potrzebna, może im pomóc. Idea czyścca w istocie wyjaśnia tę naszą praktykę. Dostrzegamy, że grzech nas psuje, robimy się gorsi, niż powinniśmy

być. Jeżeli mocno się wysilamy, pokutujemy, próbujemy iść za dobrem, to jesteśmy w stanie naprawić sporo skutków naszego grzechu. Być może nawet dojdziemy w momencie śmierci do takiego stanu, w jakim Bóg chciałby nas mieć. Jeżeli jednak człowiekowi mimo starań nie uda się za życia przezwyciężyć w sobie wszystkich konsekwencji grzechu, to potrzebny będzie jeszcze moment czy stan oczyszczenia po śmierci.

Można człowieka porównać do balonu, który wygląda ładnie i w pełni spełnia swoje funkcje tylko wtedy, gdy jest odpowiednio wypełniony powietrzem. Jeśli jest za słabo nadmuchany, prezentuje się nieatrakcyjnie. Podobnie człowiek, jeśli nie napelnił się miłością do tej miary, do której powinien, to staje przed Bogiem jakby oklapnięty. Potrzebuje, żeby go dopompować miłością i temu służy czyścić i nasza modlitwa za zmarłych. Człowiek po śmierci jest całkowicie bezradny, nic nie może zrobić dla swojego zbawienia, w związku z tym nasza modlitwa musi go doprowadzić do tej miary, jaką Bóg dla niego zaplanował. Dlatego Kościół w każdej Eucharystii modli się za wszystkich zmarłych, nawet tych, którzy nie mają bliskiej pamiętającej o nich rodziny. Tak jak grzech nigdy nie jest sprawą prywatną, bo dotyka innych, tak

też dobro nie jest nigdy sprawą prywatną i może pomóc także tym, którzy potrzebują ostatecznego dopełnienia. Nigdy nie wiemy, ile tego dobra jest potrzebne dla konkretnego człowieka, żeby tę właściwą dla siebie miarę osiągnął, ale nawet jeżeli będziemy „pompować modlitwę” w kogoś, kto jest już w pełni miłości, to Bóg zagospodaruje ją, przekazując łaskę komuś następnemu. W zarządzaniu dobrem Bóg jest naprawdę skuteczny.

Jeżeli człowiek dostąpi pełnego zjednoczenia z Bogiem, to odzyskuje możliwość służenia innym, dlatego możemy prosić o wstawiennictwo świętych. Oni mogą nas otoczyć swoją miłością. To jest przedłużenie solidarności między ludźmi, jakiej doświadczamy na ziemi. Tak jak my nawzajem sobie pomagamy, tak święci żyją cały czas w związku z nami i pomagają nam swoim wstawiennictwem.

Dzień Wielkiego Pojednania

Stan człowieka z samą duszą jest stanem przejściowym. Nie będziemy przez całą wieczność fruwać sobie jako „duszki”. Wiara nasza mówi o zmartwychwstaniu ciała – stanem docelowym

jest cały człowiek: dusza i zmartwychwstałe ciało. Niewiele wiemy o tym, jakie będzie ciało zmartwychwstałe, bo jedyny przypadek, jaki znamy, to jest zmartwychwstałe Ciało Chrystusa. A po wniebowstąpieniu nijak zbadać go nie możemy. Z zapisanych w Nowym Testamencie świadectw uczniów wiemy, że jest ono z jednej strony w ciągłości z tym ciałem, które było poprzednio, bo uczniowie Go rozpoznawali, a z drugiej strony zachowuje się ono trochę inaczej – Jezus się zjawia, wchodzi mimo zamkniętych drzwi, pokazuje się w dwóch miejscach jednocześnie...

! Oczywiście – wiara w zmartwychwstanie wiąże się z wiarą w przemianę całej materialnej rzeczywistości. Święty Paweł twierdził, że wraz z przyjściem Chrystusa nastąpi nie tylko zmartwychwstanie, ale również przemiana całego wszechświata – będzie nowe niebo i nowa ziemia, na której zamieszka sprawiedliwość. Ta przemiana jest konieczna, bo cały kosmos musi zostać oczyszczony ze skutków grzechu. Zło, które teraz jest w świecie zmieszane z dobrem, splątane w naszych sercach, zostanie oddzielone i odrzucone. Ten nowy przemieniony świat będzie wolny od grzechu i jego skutków.

Zanim to się stanie, czeka nas drugi sąd, który nazywamy „ostatecznym”. Nie należy go rozumieć

282 057115704

jako drugą instancję, w której można się odwołać od decyzji instancji pierwszej, czyli sądu szczegółowego. Tamto rozstrzygnięcie jest już ostateczne. Rzecz jednak w tym, że w chwili śmierci nie znamy wszystkich konsekwencji uczynionego przez nas dobra lub zła. A przecież skutki naszego działania ciągną się przez kolejne pokolenia. Dopiero jak historia się skończy, będzie można to wszystko zobaczyć. Na tym właśnie będzie polegał sąd ostateczny – zobaczymy konsekwencje każdego naszego czynu, ostateczną miarę dobra i zła, które wnieśliśmy w świat. Mówiąc żartobliwie: będzie to dzień powszechnego zawstydzenia, bo wszystko o wszystkich stanie się jawne w Bogu. Jednak nie na wstydzie będzie spoczywał akcent. Będziemy już wtedy uczestniczyć w Boskiej zdolności do przebaczenia, zalani po uszy miłosierdziem Ojca. Bez tego trudno byłoby sobie taki dzień wyobrazić. W związku z tym, nawet jak się dowiemy, skąd pochodzi jakieś cierpienie, które nas dosięgło, bo na przykład ktoś z naszych przodków nie dbał o zdrowie, to nie będziemy zaczynać od pretensji, tylko od miłosiernego przebaczenia. Podobnie z miłosierdziem będą spoglądać na nas ci, którzy doznali skutków naszego grzechu. Zdaje się więc, że to będzie dzień wielkiego pojednania.

Dość długo chrześcijanie oczekiwali rychłego powrotu Chrystusa, żywo pragnęli tej nowej rzeczywistości. Nie patrzyli na to jak na „koniec świata”, który lepiej żeby nie przyszedł wcale, ale jak na początek nowego, lepszego świata. To jest coś, co trzeba w naszej duchowości odzyskać. W praktyce duszpasterskiej nadmiernie straszono sądem ostatecznym, żeby ludzi skłonić do nawrócenia, ale efekt jest nie najlepszy. Lęk to marna motywacja do miłości. Zaczęliśmy patrzeć na sąd ostateczny – i na Sędziego – jako na coś strasznego i obawiać się powtórnego przyjścia Jezusa. Tymczasem powinniśmy go z niecierpliwością wyczekiwać, przyzywać w modlitwie. Nie będziemy wtedy musieli umierać, nie będziemy musieli przechodzić przez traumę śmierci. Zatem: przyjdź, Panie Jezu!